

**ELIZA  
ORZESZKOWA**

ONI

Eliza Orzeszkowa

**Oni**

«Public Domain»

**Orzeszkowa E.**

Oni / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

© Orzeszkowa E.

© Public Domain

# Содержание

I	6
Конец ознакомительного фрагмента.	12

# Eliza Orzeszkowa

## Oni

(R. 1863)

...Był w zamkniętym, cichym pokoju wieczór zimowy, długi, gdy ta dawna znajoma moja, z twarzą na światło lampy obróconą, z wnętrza głębokiej zadumy mówiła:

– Pytanie twoje o moje wspomnienia, prośby twoje, abym swoje wspomnienia twojej pamięci powierzyła, przenoszą „duszę moją utęsknioną w wiosnę ową, w ów sen, w ową godzinę, którą niegdyś zegar przeznaczeń wydzwonił wielkim głosem.

Wiosna przeminęła, sen zgasł, godzina umarła i dusze ludzkie pozostały za nimi daleko, wirem życia coraz dalej unoszone, lecz wiecznie je pomnę.

O, wiosno! kto cię widział w naszym kraju,  
Pamiętna wiosno.....  
Kto cię widział, jak byłaś.....  
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!  
Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!

Przesunęła mi się o wczesnym poranku życia jak sen złoty i krwawy, zniknęła. Po świecie rozlała się ciemność. W ciemności miałam duszę wiecznie utęsknioną i za słonecznymi, złotymi snami goniącą – po polach, nad którymi stały cisze głuche i hasały ponure wichry.

Chcesz okrucha, momentu, fragmentu tej wiosny. Dobrze. Posłuchaj!

## I

Miałam lat dwadzieścia, lecz pomimo młodości tak wczesnej, dla przyczyn, które pomijam, bo z moją osobą tylko były w związku, wiedziałam o wszystkim, co się dokoła działo i nikt z niczego tajemnicy przede mną nie czynił. To tłumaczy, że w momencie owym znajdowałam się w tym domu i że byłam świadkiem sceny tej, o! bardzo ważnym i wzruszonym.

Dom był jednopiętrowy, obszerny, na biało otynkowany, mający przed sobą dziedziniec bardzo rozległy, a za sobą wysokie oparcie drzew ogrodowych. Wszystko, co otaczało dom ten i znajdowało się w jego wnętrzu, oznajmiało dostatek wielki i smak wykształcony. Pięknie tam było, zamożnie, wytwornie i dotąd spokojnie.

Ale teraz anioł spokoju z ziemi tej odleciał i rozlało się po niej wrzenie głuche, bo tajemnicą okryte, tym namiętniejsze i tym tragiczniejsze. Było to wrzenie serc i głów w kotle niewoli, pod pokrywą tajemnicy.

W obszernym i ozdobnym wnętrzu domu toczyły się gwarne rozmowy trzydziestu około mężczyzn różnego wieku i różnej powierzchowności. Na dnie gwaru tego czuć było niewypowiedziane, lecz niespokojne oczekiwanie.

Byli to członkowie organizacji powstańczej paru powiatów poleskich, oczekujący na przybycie jednego ze współobywateli swoich, który dziś przed nimi miał złożyć oświadczenie, że przyjmuje dowództwo nad miejscowym oddziałem zbrojnym lub że je odrzuca.

Prawie powszechne było zdanie, że nie odrzuci, ale pewności zupełnej nie posiadał nikt. Nikt z obecnych nie znał go z bliska, wielu nie znało go wcale. Jednak od kilku już miesięcy imię jego wymawiane było w okolicy bardzo często.

– On jeden mógłby! – mówiono. – On tylko jeden!

I czoła mówiących powlekały się troską, bo jeżeli on nie zechce, nikt w tych stronach nie potrafi. A ręką nieumiejętnym, sztuce wojskowej obcym, zadanie to powierzać...

Nietrudno było przypuszczać, że nie zechce, bo zadanie posiadało wagę i grozę rzeczy niezmiernie wysokich i niebezpiecznych.

Ten, kto zadania tego miał się podjąć, musiał posiadać bary Atlasa i serce gardzące mieczami Damoklesowymi. Mnóstwem mieczy najeżone było to zadanie i krwawiły się na nich napisy: Odpowiedzialność, Męka, Śmierć. Trzeba było porzucić wszystko, co było miłe, kochane, spokojne, bezpieczne, a pójść pomiędzy te miecze, w ich błyskawice i w ich mordercze szczęki. Trzeba było zwyciężyć albo zginąć; trzecie wyjście z koła ich nie istniało. Zwyciężyć zaś łatwo nie będzie; owszem, stokroć trudniej aniżeli poprzednikom, którzy w epizodach minionych tej już prawie stuletniej walki – nie zwyciężyli. Więc trzeba było mieć głowę zapaloną takim pożarem idei, aby w jego blaskach oślepnąć całkowicie na samego siebie, na wszystko, co nie jest przedmiotem tej idei i jej ofiarnym ołtarzem. Trzeba było w samej nawet klęsce, z za zasłon czasu dostrzeżonej, widzieć krwawe, lecz nieśmiertelne ziarno przyszłego zwycięstwa i umieć na grób własny patrzeć żrenicą nie tylko niewzruszoną, lecz jeszcze rozradowaną przez myśl i nadzieję, że kiedyś, w pokoleń i czasu oddali z emanacji przez grób ten wyziewanych powstanie krwią przelaną unieśmiertelniony Arcyzwycięzca, Duch.

Zdarzać się wprawdzie mogło, że w koło to wstępowało, w krater ten wskakiwało uniesienie lekkomyślne, uniesienie młodzieńcze, nie znające faktów, liczb, możliwości, niemożności, wgardliwie omijając wszystko, co nie jest żądzą serca, marą wyobraźni.

Ale o nim wiedzieli wszyscy, że w sile męskiej wieku będąc, młodzieńcem już nie był, że wiele wiedział, umiał, że w rzemiośle wojskowym był biegły. W tych stronach poleskich urodzony, młodość daleko stąd przepędził, w wojnach brał udział, twarde prawo żelaza i liczby znał. Pułkownik jednego z uczonych działów ogromnej armii, drogę miał przed sobą daleką, może z wysokimi szczytami u

kresu. I nagle rozstał się z tą drogą, zerwał z przeszłością, wyrzekł się przyszłości, do rodzimej swej wsi poleskiej powrócił, w niej osiadł. Niedawno, zaledwie przed miesiącami.

Nikt go tu z bliska nie znał, więc nikt nie wiedział, na jaką miarę pierś jego skrojona. Bo posiadać rozum, umiejętność, biegłość w fachu, nie zawsze znaczy to być człowiekiem mającym serce wielkie.

Kto wie, jak postąpi?

Poselstwo, przed niewiele dniami do niego wysłane, odpowiedzi stanowczej nie przywiozło. Przyrzekł, że dziś przed zgromadzonymi członkami organizacji stanie i postanowienie swoje oświadczy.

Tymczasem nie przyjeżdża.

Pora dnia już późna. Właściwie dzień już się skończył. W salonach służba zapaliła lampy. Jasne światło rozlało się po obrazach, sprzętach, kwitnących roślinach, obciążających stoły książkami, dziennikami, albumami. Przez kilka okien otwartych na wieczór kwietniowy, dziwnie cichy i ciepły, wlatywał zapach narcyzów i mieszał się w powietrzu z jasnym światłem lamp.

Jasno i wonnie było w salonach, jednak stawać się zaczęło chmurnie i duszno.

Rozmowy leniwały, gwar głosów przycichał, na czołach osiadały chmury.

Gospodarz domu, urodziwy i rostry brunet w średnim wieku, z czołem wyniosłym i ustami przybierającymi często zarys mądrych, lecz sarkastycznych uśmiechów, z kilku starszymi gośćmi przechadzał się po salonie, coraz więcej milczący i roztargniony. Oni, ci goście, z pobłyskującą srebrem siwizną na głowach, kiedy niekiedy przystawali, przysłuchiwali się czemuś, zdawali się na coś oczekiwać.

Co chwila ktoś wysuwał się z salonu, wychodził na ganek domu i w zmierzchu łagodnego wieczoru wpatrzony wyteżał wzrok i słuch.

Inni otwierali leżące na stołach dzienniki, albumy, lecz łatwo było zgadnąć, że kart, na które patrzyli, nie widzieli, z myślą około czegoś innego krążącą.

Inni jeszcze u otwartych okien stojąc zamieniali się półgłosnymi słowami, często milknąc, w zamyśleniu.

Wśród tych u okien stojących najwyraźniej dziś dostrzegam szlachetną twarz Władysława Orszaka. Postawę miał ciężką nieco, ruchy powolne i mowę nieco powolną, rozważną. Starzej nad swoje lat czterdzieści wyglądający, oczy zmęczone i smutne wznosił ku górze, ku zawieszonym za oknem mrocznym błękitom, a pod bujnym, ciemnym wąsem łagodnymi jego ustami poruszały ledwie dostrzegalne drgania. Jakby modlił się. Może. Światło lampy pozłacało mu ciemne włosy i brodę na szeroką pierś spadającą.

Najmłodszy z towarzystwa do nas, kobiet, się zbliżyli. Nas, kobiet, było tylko dwie. Gospodyni domu, ładna, wiotka, trochę tylko ode mnie starsza, tuż przy mnie na małej kanapce siedziała. Zbliżył się do niej i do mnie bardzo wysoki, atletycznie zbudowany brunet, którego dla rysów rzymskich i cery południowej Scypionem czasem nazywano. Powierzchnowość to była człowieka śmiałego, mocnego w uczuciach i woli. Oczy płonęły jak czarne diamenty, usta pod czarnym wąsem gorzały purpurą. Przy nim niebawem stanął typ młodzieńczy zupełnie odmienny. Południe i północ.

Postawa wysmukła, raczej węża niż silna, twarz biała, włosy złote, wesołość niemal dziecinna w błękitnych oczach. Słynny na szeroką okolicę z namiętności myśliwskiej, ze znakomitej jazdy konnej, z wprawy strzeleckiej. Przeszłość krótka bardzo, lecz w której nic nie zapowiadało polotu ku gwiazdom lub pociągu ku otchłaniom. Trzeci, który się zbliżył, jeszcze prawie student, przez nas z powodu pokrewieństwa bliskiego po imieniu Florentym nazywany. Ze studiów uniwersyteckich przywiózł z sobą demokratyzm gorący, zawzięty, w myśli, sercu i mowie wciąż jakby pacierz odmawiający deklinację: lud, ludowi, dla ludu, przez lud, w ludzie... Ogorzały, barczysty, łączył w sobie z demokratycznym sposobem myślenia nieco też demokratyczną, umyślną rubasznosc ruchów i słowa, gdy z szarych oczu patrzyła na świat miękka, litościwa, wciąż ku wyżynom wlatująca dusza marzyciela.

Stanęli przed nami i zaczęli mówić o *nim*.

– Spotkałem się z nim, widziałem go, to człowiek niezwykły, na wodza stworzony. Przyrzekł, więc przyjedzie... Tacy ludzie, gdy coś przyrzekną...

– Rzecz prosta, że przyjedzie. Czy dowództwo przyjmie? nie wiadomo...

– Przyjmie niezawodnie...

– Dlaczego niezawodnie?

Gospodarz domu zbliżył się do żony i z cicha rzekł:

– Jest już tak późno, że kazałem podawać wieczerzę. Proś gości, Stefuniu!

Wysokie czoło przeszywała mu zmarszczka niezadowolenia i w zarysie ust tkwił wyraźniejszy niż kiedykolwiek sarkazm. Jeden ze stojących przed nami młodzieńców z drgnieniem ironii w głosie zapytał:

– Pan już zwątpił?

– Zwątpilem.

– Ja nie.

– Ani ja.

Gospodarz zawołał:

– Szczęśliwa młodość!

– Dlaczego szczęśliwa? – zapytały trzy młode głosy, w których brzmieniu czuć było już rozniecającą się iskrę tych sporów, uraz, zażaleń, które od roku, może więcej, wybuchały tu pomiędzy ludźmi starszymi a młodszymi co dzień, co godzinę, gorące, czasem namiętne i gwałtowne.

Gospodarz domu sympatii młodego pokolenia nie posiadał, o! nie, za ironię, za to, co nazywało ono chłodem uczuć, może trochę za dumę człowieka wysoko wykształconego i możnego. Tym razem jednak znikł mu z ust bez śladu wyraz ironii.

– Dlatego – odpowiedział – że młodość to wiara, która uszczęśliwia, gdy wątplenie boli.

Mówił szczerze. Z wyrazu czoła i oczu znać było, że go coś dojmująco, głęboko bolało.

Wkrótce wchodziliśmy wszyscy do wielkiej sali jadalnej, w której długi stół, okryty naczyniami stołowymi, błyszczał w rześnym świetle lamp i świec.

W głębi sali, naprzeciw drzwi, przez któreśmy wchodzili, rysowała się na jasnym tle ściany kolumna z czarnego drzewa, z okrągłym wyrżnięciem w głowicy. Był to staroświecki zegar, aż pod sufit prawie wznoszący swe oblicze wielkie, okrągłe, białe, czarnymi zmarszczkami wskazówek przeorane. Wyglądał jak symbol czasu, z góry i obojętnie spoglądający na ludzkie zachody, niepokoje, losy.

Był moment krótki, w którym zebrani, na znak gospodyni domu oczekując, otaczali stół w postawach stojących. Ona, stojąc również, na kilka osób nieco spóźniających się oczekiwała. Po sali płynął niegłośny szmer rozmów, dwie nasze kobiece suknie rzuciły na czarne tło ubrań męskich plamy jasne i w blasku lamp świetliste.

W tym właśnie krótkim momencie za oknami rozległ się turkot kół. Szmer głosów rozmawiających umilkł, salę zaległa cisza. Nikt nie usiadł. Po wszystkich twarzach rozlał się wyraz zaniepokojenia; niektóre z nich trochę pobladły.

Gospodarz domu śpiesznie do przedpokoju wyszedł i po minutach kilku już spóźnionego gościa obecnym przedstawiał.

Po wielkiej sali, w rześnym świetle, wśród ciszy zupełnej i trzydziestu paru oczu w jednym punkcie utkwionych, rozległo się imię i nazwisko – Romualda Traugutta.

Jednocześnie w głębi sali, prawie pod sufitem, zabrzmiał metaliczny, basowy dźwięk. Zegar z białą twarzą w czarnej obwódce uderzać zaczął godzinę. Dziesięć z kolei dźwięków metalicznych, głębokich płynęło górą, gdy dokoła stołu brzmiały nazwiska gości, z którymi gospodarz domu przybyłego najpóźniej zaznajamiał.

Przyczyna opóźnienia z łatwością wyjaśniona została: jakiś prosty i pospolity wypadek w kilkumilowej podróży po złych jeszcze drogach wiosennych.

Miał lat trzydzieści sześć i na wiek ten wyglądał, wzrost średni, budowę ciała więcej sprężystą i szczupłą niż silną, a w ruchach łatwych, pewnych siebie, w postawie wyprostowanej coś, co przypominało typy wojskowe. Od pierwszego wejrzenia rzucała się w oczy głęboka czarność jego włosów tak obfitych, że dwie ich fale, jedna nad drugą, wznosiły się nad czołem śniadym, kształtnym, przerziętym od brwi aż prawie po włosy pionową linią głębokiej zmarszczki. Oczy niełatwo było dostrzec, bo okrywały je szkła okularów, lecz wśród owalu śniadej twarzy uwagę zwracały usta bez uśmiechu, spokojne i poważne. Może ta powaga ust i ta zmarszczka na czole przedwczesna sprawiały, że w powierzchowności tej uderzał przede wszystkim wyraz myśli surowej, skupionej, małowównej. Nic miękkiego, giętkiego, ugrzecznionego, nic z łatwością wylewającego się na zewnątrz. Tylko myśl jakaś panująca, przeogromna, nieustannie w milczeniu, w skupieniu pracująca i pod jej pokładem jakiś tajemny upał uczuć, który na czole wypalił przedwczesną zmarszczkę i gorącym kolorytem powlókł milczącą twarz.

Znać było, że daleko chętniej milczał, aniżeli mówił. Do rozmowy o rzeczach potocznych, która toczyła się w czasie wieczerzy, mieszał się rzadko i obojętnie, krótkimi słowami. W zamian niepodobna było nie dostrzec, że wzrokiem bada otaczające, świeżo poznawane twarze. Może w duchu, gotującym się do spełnienia jednego z najdramatyczniejszych aktów, jakie przez duch człowieczy spełnionymi być mogą, zapytywał o wartość i siłę swoich w dramacie współaktorów.

Cicho za odchodzącą służbą pozamykały się drzwi sali; wszyscy siedzieli w milczeniu dokoła długiego stołu, z którego zdjęte już były okrywające go wprzód naczynia.

Gospodarz domu w postawie stojącej przemawiał.

Mówił o tym, że niedawno jeszcze przeciwny był rozpoczynającemu się w kraju ruchowi i powstrzymywać go usiłował, nie dlatego, aby mniej od kogokolwiek pragnął wolności i szczęścia kraju, ale że pora nie zdawała mu się wybrana trafnie ani siły dość przygotowane, ani szanse zwycięstwa równe szansom klęski, która jeżeli nastąpi, przyniesie następstwa wagi nieobliczalnej, najpewniej bardzo ciężkiej. Mniemał, że cierpliwe oczekiwanie na moment sposobny, na zbieg okoliczności dla walki pomyślny, na powiększenie sił i zasobów do niej, nie mniej jest warte od rzucenia się w walkę ze szlachetnym i choćby bohaterskim zapałem w sercu, lecz bez należytej orientacji w głowie, bez wagi w rękę i arytmetycznej tablicy przed oczyma.

– Czycielem rozumu jestem i tych szkiełek mędrca, które wyśmiewać ma prawo poezja, lecz których polityka sprzed oczu usuwać nie powinna. Dlatego odradzałem, walczyłem z prądem, usuwałem się na stronę. Byłem biały...

Przy słowach ostatnich podniósł głowę i śmiałym spojrzeniem spotkał się z niechętnymi, ironicznymi uśmiechami, które na kilka twarzy wystąpiły.

– Nie sam jeden w zgromadzeniu tym jestem, którym tak myślał i nazwę tę nosił. Wszak znajdują się tu współmyślący moi, nieprawdaż?

Wyżej jeszcze podniósł głowę, na odpowiedź czekał. Poważnie kilka głosów odpowiedziało:

– Tak.

Więc mówił dalej:

– Teraz uderzył już dzwon, wielki dzwon historyczny i nie białym, ale czarnym byłby ten, kto by na dźwięk jego głuchy pozostał. Istnieje coś, co gdy raz nad powierzchnię ziemi wystąpi, zgładzone z niej być nie może. Tym czymś jest fakt. Fakt zbrojnej walki stał się. Znaczna część kraju w ogniu jej już stoi. Jakkolwiek niebezpieczeństwa czy niepodobieństwa mógłby dla niej i przez nią spostrzegać rozum, on również wskazuje, że przeciw niebezpieczeństwom i niepodobieństwom, przeciw hańbie także, która zuchwałych a niedołącznych okrywa, orężem ratunkowym może być tylko nasza jedność. Mądry syn domu ostrzega przed rozniecaniem ognia nieostrożnym i niewczesnym, lecz kiedy dom już gore, szalony byłby, więcej – przeklęty byłby, gdyby nad nim nie roztoczył ramion czynnych, ratujących! Przekonań człowieka godzina każda odmieniać nie może, ale w godzinie każdej inne być mogą obowiązki. Obowiązkami godziny, która wybiła w kraju naszym, są dla nas: jedność i ofiarność. W nich nadzieja... Bez nich zginiemy...

Wstrzymał się, z głową spuszczoną milczał, myślał. Rumieńce na policzki, blaski gorące w oczy wstępować mu zaczynały.

– Są to przyczyny, dla których, gdy fakt stał się i godzina nowego obowiązku uderzyła, wstąpiłem do organizacji powstańczej tej poleskiej ziemi i na czele jej stanąłem. I od momentu, w którym rozum mój zatwierdził hasło: jedność i ofiarność! siebie samego i wszystko, co moje: dom, majątek, w potrzebie wolność i życie, siły rozumu, jakimi rozporządzam i pragnienie serca najgorętsze z tych, których znałem kiedykolwiek, złożyłem na usługi sprawy.

U przeciwnego końca stołu zabrzmiały ciche brawa, wyszeptywane przez te same usta, które przed chwilą uśmiechały się ironicznie i niechętnie. Ale mówiący, na ten szmer przyjazny, tak jak przedtem na nieprzyjazne uśmiechy obojętny, mówić kończył:

– W charakterze nowo mianowanego naczelnika organizacji ziemi poleskiej, w imieniu jej i w obecności jej członków, zapytuję pana Romualda Traugutta, czy przyjmie dowództwo nad uformowanym przez organizację zbrojnym oddziałem tej ziemi?

Niewysoki, szczupły, wyprostowany i tylko z pochylonym nieco czołem, na którym upał wewnętrzny wypalił pod falami kruczych włosów przedwczesną zmarszczkę, wstał z krzesła Romuald Traugutt i odpowiedział:

– Z dalekich stron powróciłem tu z myślą, że usługi moje mogą być teraz potrzebne ojczyźnie. Zawód, któremu się oddawałem, przysposobił mnie do ofiarowanego mi zadania, więc je przyjmuję.

Krótkie to było, proste, skromne, wypowiedziane głosem mającym brzmienie czyste i metaliczne.

Dokoła stołu wszyscy powstali i pochyliłi się w milczącym ukłonie, po czym salę zaległa chwilowa cisza. Cisza serc, oblewających się potajemnymi łzami wzruszenia i cisza grozy, którą oddychają momenty wyroczone; i ta jeszcze cisza, z jaką nad tym biednym światem kędyś wysoko waży się na szalach przeznaczenia losy ludzi i narodów.

Pierwszy ciszę przerwał Traugutt.

– Proszę organizację o zdanie spraw z działań dla uformowania oddziału przedsięwziętych i dokonanych, z liczebności tego oddziału, uzbrojenia i wszechstronnych zasobów jego oraz o mapy powiatu i powiatów sąsiednich, czyli topograficznego terenu, na którym rozwijać się będą przyszłe działania wojskowe.

Głos to był nieco inny już od tego, którym przemawiał przedtem. Pobrzmiwała w nim nuta rozkazu, czuć było człowieka, który z zadaniem raz na siebie przyjętym żartować nie będzie i fachowca, który wiedząc dobrze, czego żądać mu należy, żądania swe stawia bez próżnych dodatków i omówień.

Bardzo rychło zjawiły się na stole mapy mniejsze i większe, lecz przed ich rozwinięciem z kolei mówić zaczęli ci, którzy pełniąc w organizacji urzędy dziesiątników i setników zdawali sprawę ze zgromadzonych przez siebie dziesiątków i setek przyszłych zbrojnych partyzantów, cyfry nieduże zresztą, bo oddziały partyzanckie z samej natury tego rodzaju wojny liczne być nie mogą, potem nazwy broni, ilości jej i gatunki.

Wódz z twarzą ku mówiącym podniesioną słuchał; w szklach, które osłaniały mu oczy, zapalały się, przygaszały, migotały odbicia światła, czasem pytania krótkie zadawał, czasem zsuwały się mu brwi czarne i zmarszczka na czole pogłębiała się widocznie. Raz tylko po rysach milczących przepłynęła, wnet znikając, smuga radości. Było to wtedy, gdy przemówił naczelnik zorganizowanej w powiecie poczty obywatelskiej, Władysław Orszak.

Jak zwykle ociężały nieco w poruszeniach, jak zwykle powoli i rozważnie mówić zaczął o potrzebie otaczania partii zbrojnej pilną strażą tych, którzy w domach pozostaną, rozciągania dokoła niej takiej niby sieci drutów telegraficznych, z mężnych woli i serc wyprzedzonych, które by świat z nią i ją ze światem, i jeszcze ludzi jednomyślnie z nią działających, a rozproszonych po świecie – wiązały.

Z twarzą nad wiek przywiedłą, łagodną, od której na piersi spływała ciemna, gęsta broda, z oczyma, w których zmęczonym, lecz czystym błękitem było coś z bolesnych upałów, które długo płonęły tajemnie i bezpożytecznie, mówił o tym, gdzie, jak, przez kogo przewożone, przenoszone będą wiadomości, ostrzeżenia, żądania, wskazania.

Taka poczta nie jest najpodrzedniejszą częścią rozpoczętego dzieła; owszem, jest jego częścią bardzo ważną. Musi być zwinna, ostrożna, umiejąca latać i pełzać, prześlizgiwać się i umykać. Ale znaleźli się ludzie do roboty tej odpowiedni i pan naczelnik przebaczy, że nie samych starych do niej zabrano, lecz także trochę młodych, którzy już w partii służyć nie będą, dopóki ona w okolicach tych pozostanie. Potem, gdy losy walki przeniosą ją w miejsce inne, i ci z nią się połączą, ale tymczasem do tej strażniczej roboty trzeba także trochę sił niesteranych i z zapałem młodości oddanych sprawie. Bo przecież...

– Bo przecież partia to serca bijące i krew gorąca kilku setek ludzi, to... dziecko marzeń naszych, zabiegów, nadziei, że raz przecież nie jak niewolnicy z duszami zabitymi, lecz jak żywi ludzie żyć będziemy. Trzeba tedy nad nią czuwać, trzeba krwawym zapasom jej troskliwym czuwaniem dopomagać!...

Pochylił twarz, która wraz z czołem pogięła się w mnóstwo fałd i zmarszczek, z łagodnej zwykle stając się posępną. Z każdej jej zmarszczki i z każdej jej fałdy wyglądały gorzkie myśli, ciężkie smutki, długo w milczeniu i niemocy przeżuwane. Powoli, głosem głuchym znowu mówić zaczął:

– Powiedziałem: niewolnicy z duszami pozabijanymi. Tak jest. Kiedy ręce skute i usta zakneblowane, to i dusza zrazu usypia, a potem mrze. Byli tacy, którzy powiadali: „Czego wam brak? Spokojnie sobie żyjecie, w dostatkach... po co zdrową głowę pod ewangelię kładzicie?” Otóż to... zdrową głowę! Śmiech gorzki z takiego zdrowia! Nic nam nie było wolno: ani czynić, ani głośno mówić, ani ludu naszego z jarzma niewoli i ciemnoty wyzwalać, ani życia swojego przerabiać, polepszać. Tylko: jedz, pij, śpij i gnij! To wolno. Niedobrze ci z tym? Powinno być dobrze, a jeżeli nie jest, to milcz! Jeżeli sarkniesz głośno lub palcem poruszysz – na Sybir! I tak było tyle lat. Boże mój! Tyle dziesiątków lat! Byli tacy, którzy w tym błocie poznajdowali sobie różne rozkosze i nimi się potruili, ale byli inni. Boże! Ty jeden wiesz, ile ci inni cierpieli! Jak im własne myśli paliły wnętrzości, jak z nich własne siły i ochoty, do niczego nie użyte, rzeżały zaduszane, ciągle konające i nigdy nie mogące skonać! Najlepsze lata życia przechodziły nam, jak ten dym szary, który po ziemi się czołga, a gdy spróbuje wznieść się w górę, zły wiatr zaraz o ziemię go ciśnie i po błotnistej powierzchni jej rozciągnie... Tak dłużej nie można było żyć. Ja wiem, że siły nasze małe, więc czerwonym być nie śmiałem. Ale i białym nie byłem także, nie! Za wiele cierpiał, za wiele przysłuchiwał się śmiertelnemu rżeniu duszy własnej i dusz bliskich, abym białym mógł być. A teraz co do tej motyki porywającej się przeciw słońcu, to myślę, że... Bóg jest z nami i że sprawa nasza to sprawa boska. Tedy... jaki tam koniec będzie, to będzie, powinność swoją... powinność swoją czyńmy.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.